

Epizody
z życia

mojej
mamy

Iwona
Żytkowiak

Iwona Żytkowiak

*Epizody
z życia
mojej
mamy*



Copyright © 2025 by Iwona Żytkowiak
Copyright for this edition © 2025 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

REDAKCJA: Anna Płaskoń-Sokołowska

KOREKTA: Renata Minior

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Anna Slotorsz

WYDANIE I

ISBN: 978-83-8412-418-5

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych, wydarzeń i miejsc jest całkowicie przypadkowe.



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Ossowska

Spis treści

Epizod pierwszy. O niechcianej ciąży i dziecku

Epizod drugi. O zielonych oczach

Epizod trzeci. O przyjaciółach mojej mamy

Epizod czwarty. O spóźnionym czasie studenckim i Marzenie, która stała się Tomaszem

Epizod piąty. O poszukiwaniu siebie i pasjach mojej mamy

Epizod szósty. O ciele i duszy, czyli złożonej naturze mojej matki, oraz wynajdowaniu różnych miejsc, które mogły odwrócić bieg rzeczy

Epizod siódmy. O tańcu w życiu mojej mamy

Epizod ósmy. O magicznych miejscach, tyłku Gosi vel Mirelli i konieczności powrotów

Epizod dziewiąty. O wodzeniu na pokuszenie i o grubej Greczynce

Epizod dziesiąty. O seksie, różnych innych dyskrecjach i tematach tabu

Epizod jedenasty. O nauce i mądrościach mojej mamy

Epizod dwunasty. O nieustającym ruchu

Epizod ostatni

Postscriptum

*Jak komiczny jest los i jak niestosownie
jest traktować go nazbyt poważnie.*

Oriana Fallaci

*Każdy z nas rodzi się z jaja, w którym
połączyły się chromosomy ojca i matki.
A więc jeśli zmienia się ojciec lub matka,
zmienia się jedność chromosomów i na świat
nie przychodzi człowiek, który mógłby się być
narodzić. Na jego miejsce rodzi się ktoś inny
i potomstwo, które się z niego wywodzi, różni
się od potomstwa, które narodzić się mogło.*

Oriana Fallaci

*Coś, co się wydarza,
a nie zostaje opowiedziane,
przestaje istnieć i umiera.*

Olga Tokarczuk

Epizod pierwszy

O niechcianej ciąży i dziecku

MAMA była już po czterdziestce, kiedy się urodziłem. Nie planowała mnie. Zresztą żadnego z nas nie planowała. A było nas pięcioro. Ja, Antek, Elka, Krzysiek i... Lucek, ale Lucek był mały i słaby. I był wcześniakiem. Od samego początku źle rokował. Żył zaledwie kilka godzin, a i to zamknięty w inkubatorze, oplątany siecią rurek, żyłek, które łączyły go ze skomplikowaną maszyną medyczną, świecącą i pikającą, jakby na złość nasuwającą skojarzenia z automatami do gry, w których gracz musi przejść kolejny level, by zachować życie. Niewiele ponadkilogramowemu Luckowi się nie udało – po tych kilku godzinach urządzenia przestały pikać i świecić, a położna stanęła w drzwiach szpitalnej sali, w której leżała wymęczona porodem mama. Wzruszyła ramionami i nawet nie musiała nic mówić, bo mama już wiedziała. Matczyne serce wszystko wyczuło.

Rzadko się o nim, czyli o Lucku, mówiło w domu, chyba tylko przy okazji oglądania albumów ze zdjęciami, na których zresztą on sam nie widniał, co było raczej zrozumiałe. Była na nich natomiast mama. Z czubatym brzuchem pod umarszczoną na piersiach sukienką. I właśnie po tych sukienkach poznawała, kto akurat był w jej brzuchu. Z Antkiem miała granatową, bistorową tunikę w pawie oka; na zdjęciu szła uśmiechnięta od ucha do ucha przez miasto – w okolicach kina Stolica. Kina już dawno nie ma, bo na jego miejscu wybudowali market. Nie ma już niskiego budynku z dumnie zawieszonym na szczycie neonowym napisem „Stolica”,

z gablotami, za którymi wywieszony był repertuar seansów na siedemnastą i dziewiętnastą, a w niedzielę – poranków o jedenastej. Zamiast kina jest ciągnący się niemal przez całą szerokość między przecznicami Kozią i Odrzańską paskudny barak kolejnego dyskontu, fingowany na nowoczesną modłę. Ale mama szła wtedy, kiedy jeszcze było kino. I betonowy murek, i paskudne klomby z begoniami oraz aksamitkami, podeptane, poniszczone, bo ludzie sobie drogę skracali, kiedy chcieli iść do kina albo księgarni mieszczącej się tuż obok bocznego wejścia, za szklanymi drzwiami, za którymi widać było kinowy hol, wielkie oleandry, rzędy drewnianych krzeseł i kontuar wiecznie nieczynnego baru. Ten murek to był najlepszy murek w całej okolicy. Pierwszego maja siadali na nim mieszkańcy miasta. Mężczyźni podkładali pod tyłek chusteczki, a kobiety – torebki. A w inne dni z murku się skakało. Wskok – zeskok, wskok – zeskok. I tak przez całą długość aż do schodów, które były na końcu przykinowego placu.

Kiedy mama zaszła w ciążę z Elką, była chuda jak patyk i mieściła się prawie we wszystkie spodnie, tylko pod koniec zamiast guzika w pasie wstawiła sobie szeroką gumę. A do tych spodni nosiła luźną bluzkę (w egzotyczne wzory, udające azteckie), trochę dłuższą, taką za tyłek, co się chyba nazywa „tunika”. Z Krzyśkiem przechodziła zimę, więc wiele jej nie było potrzebne, bo i tak prawie nie wychodziła z domu – opędziła tę ciążę szerokimi swetrami i getrami. Babcia Wandzia fukała na mamę, że kto to widział tak byle jak ubierać się w ciąży, że potem przejdzie na dzieciaka i też będzie taki niedbaluch. Ale mama nic sobie z tego nie robiła i żartowała tylko, że to taka forma oszczędzania; na lato buty, a na zimę dziecko. Na co babcia wzdrygała się gniewnie, bo wcale jej się nie podobało, że mama rodzi tyle dzieci, a nie – jak Bóg przykazał –

sztandarową dwójeczkę, i to najlepiej starszego chłopca i młodszą dziewczuszkę.

Ze mną też mama niewiele miała kłopotu, jeśli chodzi o ciążową garderobę, bo ponoć wciąż straszyłem, że albo się nie urodzę, albo urodzę się za wcześnie, dlatego lekarz, który z miną lekko zniesmaczoną orzekł, że brak okresu u mamy to nie skutek menopauzy, a wręcz przeciwnie – mama kwitnie, rozwija się, ROZMNAŻA, postanowił w ramach ochrony życia poczętego przetrzymać ją w szpitalu. Z krótkimi okresami przepustek, podczas których i tak żadne stroje nie były jej potrzebne, bo mogła tylko leżeć. W pościeli albo i nie.

A właśnie po Lucku zostało zdjęcie mamy w zielonej sukience. To była taka zieleń, jaka pojawia się w folderach biur turystycznych reklamujących białe plaże i szmaragdowe morza egzotycznych Malediwów czy Wysp Zielonego Przylądka, o których zawsze marzyła, bo tam urodziła się jej ukochana Cesaria Evora.

– Ale ładna była ta princeska! – mówiła z rozrzewnieniem za każdym razem, kiedy brała do ręki to zdjęcie. Gładziła sterczący na fotografii brzuch i na chwilę jakby smutniała. Zaraz jednak odzyskiwała rezon, i głośno wypuszczając powietrze, dodawała: – Cóż, było, minęło. Ale sukienka naprawdę była bardzo ładna. Materiał miękki z domieszką kaszmiru!

Ale ze mną nic nie minęło. Inna sprawa, że ta ciąża to od początku była jej nie na rękę. Mama miała już swoje lata. I w końcu zamierzała żyć, robić karierę, realizować się. Snuła plany na przyszłość. Czego to nie robi, dokąd to nie pojedzie.

– Nie martw się na zapas – uspokajał ojciec, delikatnie gładząc ją po plecach, kiedy z rozdrażnieniem szeptała:

– Cholera jasna... Nie mam okresu. Już ponad tydzień mi się spóźnia. A mówiłam, żebyś uważał...

Posyłała mu przy tym serię swoich morderczych spojrzeń, pod którymi kulił się jak zbity pies.

– To na pewno klimakterium. Wszystkie kobiety tak mają. Najpierw tygodniami ciągnie im się okres, a potem miesiącami go nie mają – starał się ją udobruchać, ale mama była tykającą bombą z zawleczką wiszącą na cienkim włosku.

– Daj spokój! – fukała, gromiąc ojca wzrokiem. – Ginekolog się znalazł od siedmiu boleści! Głupia nie jestem, odróżnię ciążę od czegoś innego...

A potem stawiała przed lustrem. En face, bokiem lewym, bokiem prawym. Kręciła się jak baletnica na pozytywce, oceniając swoją sylwetkę. Przybliżała twarz do szklanej tafli, tak że na jej powierzchni tworzyła się mglista plamka, i zaglądała sobie w oczy, szukając głęboko za tęczęwką wyjaśnienia swoich wątpliwości. Wieczorem oglądała piersi, przekonana, że brodawki zbrązowiwały i stały się bardziej tkliwe.

Ojciec jakoś nieszczególnie się tym wszystkim przejmował. W duchu powtarzał sobie, że może i mama ma rację, chociaż ta różnica między klimakterium a ciążą to chyba tylko w tym leży, że przy pierwszym nie ma dzieciaka, bo poza tym i humory, i nerwy, i czepianki, i zachcianki – ale już więcej się nie odzywał.

Pewnego dnia jednak stwierdził, że istotnie coś się w niej zmieniło. I głowy by nie dał, ale to „coś” widział u niej za każdym razem, kiedy spodziewali się dziecka. Mama zawsze miała wtedy jakąś dziwną jasność na twarzy, błysk w spojrzeniu. Kiedy więc następnym razem miotała

gromy, panikując, że okres nadal nie przychodzi, ojciec, nie patrząc jej w oczy, w obawie, by jak bazyliszek nie zabiła go wzrokiem, stwierdził:

– A nawet jeśli? Nic nie zrobisz. – I rozłożył ramiona w geście bezradności, ale z taką lekkością i niefrasobliwością, jakby chodziło o coś absolutnie banalnego, a nie o rosnący brzuch i wielkie, wylewające się z biustonosza piersi, z których pod koniec ciąży sączyła się siara.

I istotnie – mama nic nie robiła. Nosila tę ciążę godnie i z wielką troskliwością, choć bez szczególnego entuzjazmu.

Kiedyś wpadł mi w ręce jej list. Z tamtego okresu. Widziałem niedbale skreśloną datę. Pismo nierówne. Do kogo pisała? Do ojca? Do Boga? Dziwny był to list. I z pewnością nie powinienem był go czytać, tym bardziej że napisała go w kalendarzu. Wpatrywałem się w datę na kartce, ale była zupełnie inna niż ta, którą umieściła w narożniku. Tam widniał dwunasty maja, a kartka wskazywała na piąty lipca. Nic mi tu nie grało, więc machnąłem ręką na te daty. Czego szukałem w tym starym kalendarzu leżącym spokojnie pośród innych, zarówno starszych, jak i nowszych, zielonego pojęcia nie mam. Po prostu dzień wcześniej mama wzięła się do porządkowania domowego archiwum, bo jak stwierdziła – obrosła niepotrzebnymi sprzętami i rzeczami. Wyrzuciła mnóstwo pierdół, część kazała ojcu wynieść do piwnicy – mimo jego protestów, bo ta już pękała w szwach od niepotrzebnych rzeczy. Ale karton ze starymi kalendarzami wciąż stał i czekał na swoje miejsce, bo mamie było trochę szkoda go wyrzucać.

– Tyle tam różnych intymnych zapisków – powiedziała, wertując jeden z kajetów. – Eee, niech jeszcze poleżą. Jeść nie wołają.

I kiedy tak stał ten karton po butach, wypełniony po brzegi kalendarzami w kolorowych okładkach: z tłoczeniami, okuciami, wieżą Eiffla, kwiatami, podkusiło mnie i sięgnąłem po pierwszy z brzegu. Niepozorny, w zielonej skóropodobnej okładce. I przeczytałem.

Mama pisała, jakby nie była dorosłą kobietą, która rzuca wyzwanie wszystkiemu, co się jej w życiu napatoczy, ale jakąś załęczoną księżniczką o plastikowej twarzy, delikatną i płochą. Pisała, że się boi i że jej życie nigdy nie było spokojne ani stabilne, a teraz na domiar jeszcze stacza się po równi pochyłej w jakąś czarną dziurę. Wczytywałem się w ten list, ale nie miałem pojęcia, o co jej chodzi. Pisała jeszcze, że znowu ma mieć dziecko – i tu chyba chodziło jej o to, że ma mieć mnie. I dalej: że nie zrobi niczego złego ani wbrew temu dziecku – czyli mnie – ani wbrew owemu „niemu”, do którego pisała. I jeszcze pisała, że ma czterdzieści lat i że przez całe życie nic wartościowego nie zrobiła, tylko rodzi dziecko za dzieckiem, jakby była jakąś samicą rozplodową, a nie kobietą, która zna swoją wartość i nie ma zamiaru wszystkich lat poświęcać na pieluchy. Przeczytałem, że jej świat się jeszcze bardziej skomplikował, a los zgotował jej t a k a niespodziankę. Dalej użała się nad swoim losem tak dramatycznie, że zerknąłem na okładkę kalendarza i przewróciłem na pierwszą stronę, by upewnić się, czy to na pewno jej kalendarz. Pomyślałem sobie, że nie znam takiej mamy. Takiej udręczonej i nieszczęśliwej. Wpatrywałem się w wytłoczony na okładce rok. I nagle dotarło do mnie, że ten jej list – pełen strachu i wątpliwości, taki dziwny, jakby pisany do gazety, by się pochwalić, jak to ładnie potrafi składać zdania i grać na uczuciach – istotnie dotyczy mnie! Wlepiąłem oczy w malutkie litery i zacząłem czytać ponownie. Z rosnącym zaciekawieniem. Wers za wersem budziły we mnie

coraz to większe przerażenie. I robiłem się coraz bardziej smutny. Tak! Smutny. Dokładnie tak się czułem.

„(...) Nie chcę już płakać, nie chcę nie spać, nie chcę się bać. Czy to wiele? Nie mogę wciąż iść pod górę. Ty wiesz, że nie jestem bez skazy, wiesz też, że chciałam, by moje życie było piękne i dobre. Zawsze byli w nim mój mąż, dzieci, Ty, mama i Ty”.

Byłem zdumiony, bo pisała o Bogu, choć przecież na co dzień nie widziałem, żeby się modliła, a i do kościoła chodziliśmy od przypadku do przypadku oraz zawsze na Boże Ciało.

– Lubię Boże Ciało – mówiła, stojąc się przed lustrem. Ubrana elegancko. W szpilkach. Wymalowana. Ale nie tak wyzywająco. Przekrzywiała głowę, raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby sprawdzała, czy z obu wygląda równie efektownie. – Prawie zawsze jest ciepło. Ulice są tak szczerze ubarwione kwiatami i kolorowymi strojami kobiet. I te chorągwie, te sztandary! – A potem zwracała się do taty nieco kokieteryjnie: – I co? Mogę tak iść?

A on patrzył na nią z zachwytem. Oczy mu błyszczały, czoło unosiło się wysoko w wyrazie zdumienia, ale nie werbalizował swojego oczarowania. Co to, to nie! Bąkał tylko, przecierając dłonią twarz, jakby chciał zmazać z niej ów wyraz oczarowania:

– Noo. Dobrze wyglądasz.

W pewnym miejscu litery były nie do odczytania. Jakby nieco się rozmyły. Może kapnęła jej herbata? I nagle znów coś do mnie dotarło – to mogły być łzy! Mama po prostu pisała i płakała! Poczułem, jak ogromna żalność dławi mnie w piersi. Nie znośłem, jak mama płacze, a teraz ją sobie wyobraziłem. Z czerwonymi oczami i mokrym nosem, który wycierała rękawem bluzki jak wówczas, kiedy umarł dziadek Lolek. Najgorsze jednak w tym czytaniu maminego listu miałem dopiero przed sobą.

Mama pisała: „(...) Jeśli już mam mieć to dziecko, to proszę Cię, żeby to była dziewczynka (...)”. Nie miałem pojęcia, co o tym myśleć. Wyobrażałem sobie jej wielkie rozczarowanie, kiedy po porodzie okazało się, że to ja, a nie jakaś dziewczynka z kręconymi blond włoskami i niebieskimi oczami, taka, jakie ogląda się w reklamach pampersów. Na nic zdały się słowa lekarki, która niczym sędzia na wystawie kynologicznej oglądała mnie z każdej strony: obmierzała, sprawdzała wszystkie reakcje, kolor skóry, napięcie mięśni, osłuchiwała, by wreszcie pełnym satysfakcji głosem oznajmić, że mam dziesięć punktów w skali Apgar. A potem jeszcze, zawieszając na szyi stetoskop niczym wielki srebrny wisior, dodała:

– No, wie pani... – Chwilę się zawahała, jakby chciała dać mamie czas na dokładne przyjęcie tego, co ma do powiedzenia, lub jakby sama zbroiła się na wypadek ciężkiego uderzenia. – W tym wieku rodzi się albo geniuszy, albo debilki. Sama pani wie, że po czterdziestce to już nie pora na rodzenie. – Na koniec rzuciła okiem na moje pomarszczone ciało, jeszcze nieco ubrudzone mazią płodową, jakby chciała się upewnić, że jej diagnoza jest trafna: – Na debilka to on nie wygląda. A giii, giii – zaszczebiotała sztucznie, przebierając palcami przy mojej twarzy.

Mama, umęczona po porodzie, ale szczęśliwa, że ma to już za sobą, odparła, nieco zniesmaczona tym debilkiem, że na objawienie geniusza to może zaczekać.

W duchu postanowiłem zrobić wszystko, by jej nie rozczarować.

Epizod drugi

O zielonych oczach

Dostępne w wersji pełnej

Epizod trzeci

O przyjaciółach mojej mamy

Dostępne w wersji pełnej

Epizod czwarty

O spóźnionym czasie studenckim i Marzenie, która stała się

Tomaszem

Dostępne w wersji pełnej

Epizod piąty

O poszukiwaniu siebie i pasjach mojej mamy

Dostępne w wersji pełnej

Epizod szósty

*O ciele i duszy, czyli złożonej naturze mojej matki, oraz
wynajdowaniu różnych miejsc, które mogły odwrócić bieg
rzeczy*

Dostępne w wersji pełnej

Epizod siódmy

O tańcu w życiu mojej mamy

Dostępne w wersji pełnej

Epizod ósmy

O magicznych miejscach, tyłku Gosi vel Mirelli i konieczności

powrotów

Dostępne w wersji pełnej

Epizod dziewiąty

O wodzeniu na pokuszenie i o grubej Greczynce

Dostępne w wersji pełnej

Epizod dziesiąty

O seksie, różnych innych dyskrecjach i tematach tabu

Dostępne w wersji pełnej

Epizod jedenasty

O nauce i mądrościach mojej mamy

Dostępne w wersji pełnej

Epizod dwunasty

O nieustającym ruchu

Dostępne w wersji pełnej

Epizod ostatni

Dostępne w wersji pełnej

Postscriptum

Dostępne w wersji pełnej